GŁOS NARODU

Ostatnia podróż S. Hedina.

1899 — 1902.

W marcu r. b. na posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, głośny obecnie podróżnik Swen Hedin zdawał sprawę ze swej ostatniej, a czwartej z rzędu podróży w głąb Azji. Środków do tej wyprawy dostarczył król szwedzki i bogaci Szwedzi, a głównie Emanuel Nobel; nadto rząd rosyjski zwolnił podróżnika od wszelkich ceł, zapewnił mu bezpłatny przejazd i przewóz bagaży w granicach swego państwa, oraz dodał jako eskortę czterech kozaków, którzy okazali się bardzo pożytecznymi towarzyszami podróży.

Kraj Zakaukaski przebył Hedin koleją w specjalnym wagonie, oddanym na jego wyłączny użytek, poczem ruszył znaną już sobie drogą z Osz do Kaszgaru. W Kaszgarze zatrzymał się i zorganizowawszy karawannę, złożoną z 15 wielbłądów i 10 koni, podążył do Lailiku nad rzeką Jarkand-Darja.

„Turkiestan Wschodni — opowiada Hedin przebyłem już przedtem prawie we wszystkich kierunkach i tylko drogi wodne były mi nieznane, wodą więc postanowiłem dotrzeć do okolic Lob-Noru. Do tego celu najlepiej się nadawał zwykły prom, używany do przewożenia towarów wpoprzek rzeki, w tych punktach, gdzie ją przecinają drogi karawanowe. Na promie urządziłem sobie, o ile można było najwygodniej, pływający domek, który miał mi służyć za mieszkanie przez długie miesiące. Nie było to rzeczą łatwą wykonać taką robotę wśród pustyni, ale przysłano mi z Jarkandu biegłych w kunszcie cieślów i kowali, którzy wywiązali się dobrze ze swego zadania. Na przodzie pokładu urządzono mi namiot; wewnątrz, przy samem wejściu, jak przystało dla uczonego, stanęło biurko, zrobione z dwu skrzyń. Z tej pozycji podczas całej 1300-milowej podróży miałem doskonały widok na rzekę i żaden zakręt, laguna, wzgórze piaszczyste lub drzewo nie uszły mojej uwagi. Pośrodku pokładu wzniesiono z tarcic i kilimów chatkę, która miała mi służyć jako ciemnica fotograficzna; zaopatrzono ją w stoły, i ławy, na dachu zaś umieszczono beczułkę z wodą do samowara, w którym zazwyczaj myłem płyty fotograficzne. Bagaże moje ulokowano na tyle statku, gdzie również i służba urządziła sobie mieszkanie. Zbudowano tam i piec z cegieł, w którym przez cały czas podróży gotowaliśmy sobie jedzenie; podczas chłodów jesiennych ogień w piecu płonął nieustannie. Na drugiej mniejszej łodzi znalazło się miejsce na spiżarnię, gdzie przechowywaliśmy zapasy żywności: mąkę, ryż, jarzyny, owoce, żywe barany i ptactwo; to ostatnie nagdakało się dosyć, zanim przywykło do swej pływającej ptaszarni. Miałem też na pokładzie psy i małe czółno angielskie, które używałem do krótkich rekonensansów w dół i w górę rzeki.

W przeddzień wyruszania zaprosiłem całą ludność okoliczną na ucztę, na której herbata i gorąca legumina z ryżu rozdawane były ad libitum. Ci sami muzykanci, którzy żegnali mnie przed niefortunną podróżą w r. 1895 znaleźli się tu znowu; brzdąkali na swych instrumentach taką samą melancholijną, pełną smutku melodyę, a przy jej dźwiękach dwie bose dziewice oddawały się zawrotnemu tańcowi. 17 września część naszego orszaku, prowadzona przez kozaków Czernowa i Syrbina, wyruszyła drogą lądową, mając spotkać się z nami na dolnym biegu Tarinu. Ze mną na pokładzie był mój dawny wierny sługa i towarzysz Islam-Bai,

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 31 Maja 1903 r.

oraz pięciu wioślarzy, z których czterech z długiemi wiosłami ustawiłem w rogach naszego statku, piątego zaś na drugiej łodzi, spiżarnianej, poleciwszy mu dawać baczenie, ażeby flotylla nie uderzyła nagle o brzeg, w razie, gdyby prąd unosił nas ku niemu.

Gdy wszystko było gotowe, dałem hasło do odjazdu. Łodzie popłynęły i wkrótce gościnne wybrzeża Lailiku znikły z naszych oczu za drzewami. Odtąd zaczęła się prawdziwa idyla. Było niezwykle przyjemnem to mieszkanie na rzece, badanie tętniącego na niej życia, jej przypływów i odpływów, kapryśnych skrętów i ciągle zmieniających się brzegów. Dla mnie, przyzwyczajonego do podróżowania konno lub na grzbiecie wyniosłego wielbłąda było nieporównanie miłem to łagodne posuwanie się z prądem spokojnie toczącej się rzeki. Całem zajęciem mojem było, siedząc przy improwizowanem biurku, wpatrywać się w krajobrazy, przesuwające się przed memi oczyma, jak w panoramie. Doznawałem również rozkosznego uczucia na myśl, że jestem zawsze w domu i jak ślimak niosę swój dom z sobą po przez wnętrze Azji. Gdy było ciepło, zrzucałem ubranie i wprost od biurka skakałem do wody. Potem podawano mi obiad, rozkładając zastawę wśród kompasów, lunet polowych i przyrządów mierniczych. Obserwatoryum meteorologiczne miałem na dachu mego domku, gdzie znajdował się barometr, przypominający, jak powoli, lecz stopniowo posuwamy się w dół rzeki, oraz termometry, wskazujące stopniowy spadek temperatury, w miarę jak się zbliżała jesień.

Upłynąwszy bardzo niewielką przestrzeń, osiedliśmy na mieliźnie; wioślarze wskoczyli do wody i zepchnęli łódź z ławicy, poczem wysłałem naprzód mniejszą łódź, która miała być naszym przewodnikiem i ostrzegać o niebezpiecznych miejscach. Zadziwiająca rzecz, ile razy uderzaliśmy o ławice piaszczyste podczas tej podróży! Po upływie kilku godzin wylądowaliśmy i rozłożyliśmy się obozem na brzegu, wśród drzew, gdzie było poddostatkiem materyału do rozniecenia ognia. Załoga spała na lądzie, ja przepędzałem noc na pokładzie, co wieczór zaś robiłem pomiary rzeki.

W Kotteklik natrafiliśmy na wodospady. Trudność tę zręczność nasza pokonała świetnie, bez najmniejszego kłopotu, za to poza niemi prąd był tak silny, że nie mogliśmy utrzymać się na ławkach i biurku mojemu groziło wielkie niebezpieczeństwo. Nieco dalej rzeka rozgałęzia się na kilka odnóg; płynęliśmy pomiędzy rozwidleniami, tak wązkiemi, że z trudnością łodzie mogły się przesunąć. W innych miejscach rzeka była zawalona drzewem; pnie topoli, pogrążone w wodzie, spostrzegaliśmy dopiero wtedy, gdy łódź już prawie napływała na nie. W punkcie, gdzie wielkie ilości wody odprowadzono z rzeki do kanału irygacyjnego Maral-Baszi, prąd zmniejszył się do 810 stóp sześc. na sekundę, podczas gdy poprzednio przepływało w sekundę 3355 stóp sześciennych wody; musieliśmy uciec się do pomocy krajowców przy holowaniu statku przez odmiały. Dalej zaczęła się okolica niezamieszkana; łodzie prześlizgiwały się bez szmeru wśród gęstych lasów, tak gęstych, że promień słońca ledwie przenikał do jam i szczelin, gdzie niedźwiedzie, tygrysy i inne dzikie zwierzęta dżungli mają swoje legowiska. Na początku podróży dokuczały nam niezmiernie komary, wkrótce jednak chłód uśmierzył ich zajadłość; w tym czasie topole przywdziały strój ze złota, jakby przygotowując się do powitania karnawału jesieni. Drzewa, proste i wysmukłe, przeglądały się w zwierciedle wielkiej rzeki, tej Alma Mater Wschodniego Turkiessanu, wpatrując się w nią z religijnem namaszczeniem, podobnie jak Bramini i siwowłosi pielgrzymi, podróżujący do Benaresu w celu złożenia hołdu świętemu Gangesowi.

W ten sposób posuwaliśmy się dzień po dniu, tydzień po tygodniu, po ciemnych wodach Tarimu, wśród zachwycających lasów, które ją otaczały. Niekiedy, gdy prąd się zmniejszał, wioślarze drzemali, oparci o wiosła, a gdy wiatr przeszedł przez las i posiał deszczem zżółkłych liści po rzece, wówczas zdawało się nam, że płyniemy po jakiejś złotej drodze, którą dla nas urządziła jesień. Linia Tarimu jest nadzwyczaj kręta. Zdarzało się, naprzykład, żc po kołowaniu na przestrzeni trzech czwartych mili, przekonywaliśmy się, żeśmy zrobili zaledwie 200 yardów w linii prostej; tym sposobem bywało, żeśmy przypływali do tych samych topoli, które pozostawiliśmy za sobą kilka godzin przedtem. Przybywszy do Masar-Tagh, zatrzymałem się tam parę dni dla zrobienia wycieczek czółnem i pieszo w celu dopełnienia map, naszkicowanych w poprzedniej podróży. Po raz pierwszy w nocy na 17 października temperatura spadła niżej zera; wieczorem tego dnia, ku wielkiej radości, dostrzegliśmy ogień, jaśniejący wśród drzew na wybrzeżu. Było to ognisko, rozniecone przez pasterzy owiec, dla odstraszenia tygrysów. Gdy tylko stróże stad dostrzegli nasz statek, posuwający się bez szmeru, jak widmo po falach rzeki, natychmiast zerwali się do ucieczki i zbiegli, zostawiając owce i ognisko własnemu losowi. Wogóle podczas całej podróży stanowiło dla nas zawsze nadzwyczajną trudność porozumienia się z pół dzikimi pasterzami, pasącymi swe stada w pierwotnych lasach Tarimu. Na nic się nie zdały przywoływania; stanowczo nie chcieli podejść i rozmawiać z nami, pierzchając na widok naszych łodzi jak spłoszone antylopy; jedynie za pomocą forteli udawało się nam ściągnąć ich i przetrzymać na pokładzie, dopóki ich znajomość topografii miejscowej mogła być dla nas przydatną.

Pierwsze urozmaicenie w naszej jednostajnej podróży zdarzyło nam się, gdyśmy przybyli do zamieszkanych okolic Arwatu. Na spotkanie nasze wyszło kilku begów miejscowych (naczelników) i tłum jeźdźców, wśród których było ośmiu sokolników, niosących swoje łowne ptaki na ręku. Ludzie ci towarzyszyli nam jakiś czas, idąc z bie-

giem rzeki; nigdy zapewne wody Tarimu nie oglądały tak uroczystej procesyi.

W miarę posuwania się jesieni, widywaliśmy dniem i nocą olbrzymie stada dzikich gęsi, szybujące ponad naszemi głowami w napowietrznej podróży do Indji. Trzymały się one zazwyczaj na wysokości 600 — 700 stóp w górze, a ich przeraźliwe krzyki rozlegały się echem po powietrzu. Niemylnie znajdowali ci upierzeni pielgrzymi właściwą drogę na swoich szlakach powietrznych, tak jak strumienie z topniejących lodowców znajdują zawsze drogę do Lob-Noru. Majestatyczny to zaiste widok, gdy się patrzy na te ptaki, płynące naprzód w ściśniętych szeregach, jak gdyby jakieś fantastyczne hufce, na swoich cichych i niezmęczonych skrzydłach.

Nareszcie przybyliśmy do ujścia Aksu-Darji, gdzie rzeka znacznie zwiększa swoje rozmiary i płynie z szybkością, dochodzącą do $2^3/_4$ mili na godzinę. W niektórych miejscach rzekę przerywają wodospady. Stopniowo stawało się coraz chłodniej na pokładzie; w nocy d. 14 listopada oba czółna zamarzły w lodzie, szczęściem, dość cienkim, a w końcu miesiąca temperatura spadła do 20^0 poniżej punktu zamarzania (według skali Fahrnheita).

Pewnego razu mieliśmy przedsmak niebezpiecznej przygody: łódź nasza uniesiona została ku wysokiemu, urwistemu brzegowi i nagle, prawie na wysokości naszych głów, ujrzeliśmy topolę, pochyloną nizko nad wodą. Wiosła nie dotykały do dna rzeki, nie można więc było szybko cofnąć łodzi; mój namiot i wszelkie urządzenia na pokładzie uległyby zniszczeniu, gdyby jeden z ludzi we właściwej chwili nie był wskoczył do zimnej jak lód wody i, płynąc, nie przyholował łodzi do brzegu za pomocą liny.

Teraz zaczęliśmy żyć w ciągłem oczekiwaniu zamarznięcia rzeki; prędzej czy później lód musiał utworzyć nieprzełamaną przeszkodę do dalszej podróży. Zaczęły się odtąd wyścigi między nami i lodem. Czy uda nam się przybyć do miejsca spotkania z resztą karawany przedtem, nim lód zatrzyma nas na rzece? Przez kilka dni płynęliśmy bezustanku cały dzień okrągły, a nawet i w nocy, jednak przez przeciąg 10 dni aż do końca listopada nie zaznaliśmy wielkiego powodzenia. Przed kilkoma laty rzeka utworzyła sobie nowe koryto wśród morza piasku, które wyrzuciło na jeden z brzegów, diuny, wielkie jak piramidy. Ten nowy kanał stanowił dla nas drogę na przełaj. Ale za to nie widzieliśmy tu żadnych śladów życia: ani antylopa, ani istota ludzka, nawet ni kruk, ni sęp nie rozweselały naszych oczu na tem uśpionem pustynnem wybrzeżu. Upływaliśmy znowu $3^1/_4$ mili na godzinę, śpiesząc bez wytchnienia obok piaszczystych wzgórzy, które wznosiły się jak wieże na 350 stóp za poziomem rzeki.

Wkrótce mróz wziął tak silny, że musieliśmy po nocy odcinać siekierami nasze łodzie od lodu. Biały łańcuch lodowy wlókł się po rzece i dźwięczał jak dzwon, uderzając w nocy o boki łodzi. Przez pierwsze dni grudnia rzeka napełniła się lodem, który wśród ciemności nocnych przybierał kształty fantastycznych postaci. Płynęliśmy, poprzedzani przez czółna krajowców, oświetlone migocącym płomieniem lamp olejnych. Wśród tych nieustannie ruchomych lodów rozlegał się ciągle trzask i huk, jak gdyby jęki i stękania i gdyśmy się dostawali między lody, płynąc z szybkością, równą ich ruchowi, zdawało nam się, że stoimy w miejscu, a tylko ponure brzegi przesuwają się przed nami jak błądzące widma. Jedynie lekkie ruchy igły kompasu wskazywały nam zakręty rzeki. Powoli lody zaczęły nas opanowywać coraz bardziej. Pasy lodowe wzdłuż wybrzeża zwierały się z sobą, olbrzymiały tak, że kanał wodny pośrodku rzeki stawał się coraz węższy i węższy. 7 grudnia lody połączyły oba brzegi rzeki; zostaliśmy uwięzieni, trzeba więc było udać się na ląd, na zimowe leże. Miejsce, w którem się to zdarzyło, nosi nazwę Yanghi-Koll; tu tego samego dnia spotkaliśmy resztę naszej karawany.

Jakby za sprawą magji czarodziejskiej powstało niezwłocznie małe miasto na pustynnych brzegach Tarimu. Rozpięto namioty, wzniesiono chaty z trzciny i urządzano stajnie dla zwierząt. Pośrodku, na placu, zawiesieliśmy latarnię chińską, która, paląc się w nocy, stanowiła jedyne oświetlone miejsce w naszym obozie; niezwłocznie też rozniecіliśmy ogień, który był już stałym naszym towarzyszem aż do końca maja następnego roku. Odwiedzali nas kupcy i rzemieślnicy z Korla i Kuczar, proponując wymianę towarów — w ten sposób ożywiony handel zakwitnął w pustyni.

Po zrobieniu wycieczki w okolicę i po przyjęciu w moim obozie polowym pod otwartem niebem słynnego podróżnika francuskiego Bonina, powracającego z Pekinu, wyruszyłem 20 grudnia z Yanghi-Koll z karawaną, złożoną z 7 wielbłądów, konia, 4 ludzi, i 2 psów do najstraszniejszej na ziemi pustyni Takla-makan, w celu dotarcia do miasta Tatran nad rzeką Czerczen-Darja, na drugim krańcu pustyni. Stanowi to 180-milową podróż czyli dwa razy taką przestrzeń, jaką przebyłem w r. 1895 w innej części tej samej pustyni, straciwszy w czasie podróży całą karawanę z wyjątkiem jednego człowieka. Ale taraz była to głęboka zima; objuczyłem przeto 4 wielbłądy klocami lodu, podczas gdy dwa inne niosły materjał opałowy, a siódmy pozostały, dźwigał zapasy żywności i futra. Ponieważ nie wzięliśmy z sobą namiotów, spałem przez całą tę zimę na otwartem powietrzu, pomimo że temperatura dochodziła do $27^1/_2{}^0$ niżej zera. Oszczędzając sił wielbłądów, zabrałem z sobą na pierwsze dwa dni jeszcze 2 ludzi i 3 wielbłądy, ale w dzień Bożego Narodzenia odesłałem tę rezerwę z powrotem.

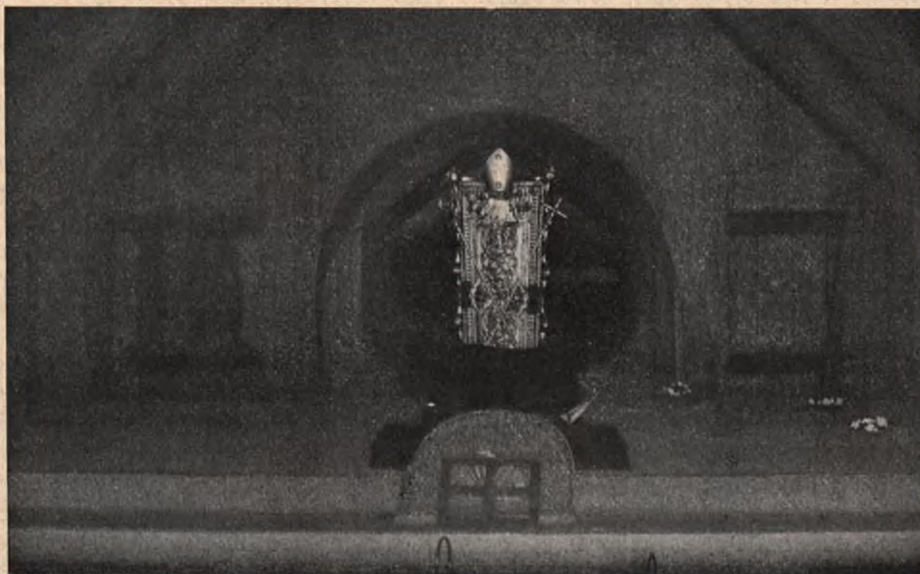
Gdyśmy wyruszyli z obozu, mieszkańcy okoliczni patrzali na nas jak na samobójców; my obaj, Islam-Bai i ja, wiedzieliśmy aż nadto dobrze, w jak niebezpieczną puszczamy się podróż. Pustynia rozpościerała się przed nami jak bezgraniczne morze; po dwóch dniach drogi zniknęliśmy



„BOLESŁAW ŚMIAŁY“ Wyspiańskiego

p. Walewska w roli królowej.

w nieskończonych labiryntach jej piasków. Ukształtowanie jej jednakże było nam wielce pomocnem w marszu. Panują tu wiatry wschodnie, które nagromadzają kupy piasku, podobne olbrzymim falom, niekiedy zaś tworzą z niego diuny, wysokości 300—400 stóp. Te zbiorowiska piasku ze strony, zakrytej od wiatru, pochylają się pod kątem 33°, z przeciwnej zaś strony t. j. od wschodu tworzą stopniową pochyłość. W dodatku do tych południowych i północnych wzgórz piaszczystych jest jeszcze inny rodzaj diun, stanowiący z pierwszemi kąty proste, po linjach, idących od wschodu do zachodu. Diuny te są utworami wiatrów północnych i południowych, wiejących tu podczas zimy. Musieliśmy zachowywać najściślejszą oszczędność materyału opałowego; co wieczór wydawałem tylko pewną oznaczoną ilość drzew. Wtedy owinąwszy się w futra, zasiadaliśmy wszyscy dokoła ożywczego ognia, ja zaś spisywałem notatki przy świetle jedynej nędznej latarni. Musieliśmy też oszczędzać i lodu; jeżeli pomimo tego nie zabrakło go nam, jest to łaska Nieba, które sprawiła, że napoczątku stycznia nie cierpieliśmy braku wody. Wkrótce zaczął padać śnieg i śnieżyło bezustanku przez kilka dni. Budziłem się teraz zupełnie zagrzebany pod śniegiem tak, że Islam-Bai musiał używać łopaty, ażeby mnie odkopać z mego ciepłego schronienia. Wzgórza piasku znikły całkowicie pod



„BOLESŁAW ŚMIAŁY" Wyspiańskiego, akt III scena ostatnia.

Wszystkie te diuny tworzą rodzaj siatki, wewnątrz której jak oczka znajdują się kotliny, mające pokład gliniasty, wolny od piasku. Miejsca takie krajowcy nazywają „beir". W kotlinach tego rodzaju spotykaliśmy niezliczone jeziora, które towarzyszą prawemu brzegowi Turimu.

Inne nieoczekiwane okoliczności zapowiadały również pomyślny winik naszego przedsięwzięcia: pośrodku pustyni natrafiliśmy na miejsce, zarośnięte trzciną. Wszystko to razem sprawiło, że całą podróż odbyliśmy kosztem tylko jednego wielbłąda. Reszta stada znosiła dobrze trudy, posuwając się miarowo, jak okręty, po falach piaszczystych pustyni. Najgorszem złem była walka z nieustającemi wichurami, które, tworząc z piasku wiry tuż przed oczami naszemi, nie pozwalały nam nic widzieć na małej nawet przestrzeni. Półciemność panowała przez cały czas.

Opuściwszy porosłe trzciną oazy, pogrążyliśmy się znowu w splątaną sieć diun, gdzie na domiar złego nie znaleźliśmy już opisanych powyżej kotlin. białym całunem śniegu. Spać na otwartem powietrzu przy 60° mrozu (Fahrenheita) jest rzeczą raczej niezwykłą, niż przyjemną. Gdyśmy siedzieli przy naszem ognisku polowem, mieliśmy temperaturę 85°, z drugiej zaś strony 20° niżej zera.

Nareszcie 8 stycznia ujrzeliśmy pierwsze drzewo tamaryszkowe i tego samego wieczoru rozbiliśmy obóz na brzegu spętanej przez lody Czerczen-Darji. Z tego punktu przyszedłem do miejsca, zwanego Anderech, o 240 mil, skąd, idąc wyschłem łożyskiem Ettek-Tarimu i potem nieznanemi szlakami przybyłem do Yanghi-Koll 24 lutego. Tutaj przyłączyło się do mnie dwu Burjatów, którzy spędzili cztery miesiące w podróży z krain zabajkalskich. 5-go marca byłem znów na koniu, zwrócony frontem ku wschodniej części tych pustynnych krain, na czele nowej, dobrze wypoczętej karawany, której skład był następujący: kozak Czernow, sześciu muzułmanów, 12 wielbłądów i koń.

(C. d. n.).

NASZE PTAKI WĘDROWNE.

(Dokończenie).

Na wrzesień atoli jest główną widownią ciągów jesiennych, lecz październik, w tym miesiącu bowiem muszą uciec wszystkie ptaki, z wyjątkiem najzaradniejszych i najwytrzymalszych. Październik darzy jeszcze resztkami ciepła, pogody i owadów, korzystających z babiego lata; ale po październiku idzie listopad, a z nim zwykle początek zimy, mniej lub więcej wyraźny. W październiku można jeszcze żyć resztkami letniego życia, ale po październiku mogą zostawać u nas tylko takie stworzenia, które są uzdolnione do znoszenia naszej zimy, a przynajmniej do walczenia z jej początkami. „Październik chodzi po kraju, żenie ptactwo z gaju“ — słusznie powiada przysłowie. Wypędza on resztę ptaków przelotnych, zarówno naszych jak i przybyłych z północy; pozostają jeszcze na czas mniej lub więcej krótki, tylko niektóre najwytrzymalsze, z tych mianowicie gatunków, które najwcześniej do nas przylatują (w lutym, a co najwyżej w marcu). Niektóre próbują nawet spędzić u nas zimę, chociaż nie zawsze z dobrym skutkiem.

Nie będziemy zajmowali tu miejsca wyliczaniem ciągów październikowych, obejmują one bowiem właściwie wszystkie ptaki przelotne, które do tego czasu nie opuściły jeszcze naszego kraju. Poświęcimy natomiast nieco uwagi tym gatunkom najwytrwalszym. Termin ich odlotów ulega nadzwyczajnym wahaniom, zależy najwidoczniej od posuwania się jesieni; ptaki te pozostają jak mogą najdłużej, dopóki mają tylko co jeść, a śniegi i mrozy nie zapanowały jeszcze wyłącznie; odlatują też w jednych latach w październiku i w innych bawią u nas jeszcze przez listopad, a czasami nawet i część grudnia.

Wśród takich ptaków należy przedewszystkiem wymienić szpaki i szkowronki. Chociaż znaczna część skowronków odlatuje już zwykle w październiku, można atoli widywać je w pojedynkę jeszcze do końca listopada, a w Poznańskiem obserwowano nawet zimowanie tych ptasząt w wyjątkowo łagodne zimy. Szpaki pozostają jeszcze dłużej, bo czasami do końca grudnia; należą one do ptaków, które bawią najkróciej po za obrębem naszego kraju. Tak samo wytrwale do listopada przesiadują u nas nieraz zięby oraz rudziki i dają sobie jakoś radę: pierwsze dlatego, że z natury są przyzwyczajone do pokarmu roślinnego, drugie z konieczności zastępując brak owadów rozmaitemi ziarnami. Samczyki obu tych ptaków zimują nawet czasami i częstokroć zupełnie pomyślnie. Niekiedy zimuje także i pliszka siwa, należąca również do wytrzymalszych ptaków, ale zdarza się to bardzo rzadko i wyjątkowo. Świergotek łąkowy dotrzymuje nieraz do listopada, ale zimować nie próbuje. To samo tyczy się drozda śpiewaka, podczas gdy kos ucieka stale w październiku.

Z gołębi naszych grzywacz odlatuje także w październiku, ale wytrzymalszy i wcześniej zjawiający się sinich bawi często przez listopad, a czasami nawet i przez znaczną część grudnia, o ile niema zbyt wielkich śniegów i mrozów. Ten jego dłuższy pobyt pozostaje w zupełnej zgodzie z wczesnym przylotem.

Za to do wyjątków należą przepiórki, bo chociaż przylatują tak późno, bawią jednakże również długo i odciągają powoli i stopniowo przez cały październik i listopad, aż dopóki śniegi nie wystraszą ich ostatecznie. Widocznie chciałyby zostać, nie mają jednak hartu i zaradności kuropatw, muszą więc ostatecznie odlecieć.

Na wodach i błotach, dopóki przymrozki ich nie zetną, można sobie dość długo dawać radę i doczekać się końca jesieni i początku zimy, a nawet przezimować na oparzeliskach. Większość wprawdzie ptaków wodnych, zarówno naszych, jak i przybyłych z północy, odlatuje wielkiemi stadami w październiku, a najpóźniej przy jego końcu; wielka jednak liczba różnych niedobitków pozostaje na listopad, a niekiedy na część grudnia. Szczególnie długą bawią w ten sposób kaczki i gęsi, które widywać można nietylko koło Bożego Narodzenia, ale nawet niekiedy przez całą zimę. Pierwsze to z ptaków wodnych, które do nas przylatują, nic więc dziwnego, iż są ostatniemi przy odlocie.

Takie ptaki bawiące bardzo krótko po za obrębem naszego kraju, a czasami zimują u nas nawet, stanowią łącznik między osiadłemi ptakami a przelotnemi. W naturze ostre granice należą do wyjątków, wszystkie zjawiska, wszelkie grupy zwierząt czy roślin łączą się zarówno między sobą szeregiem nieznacznych przejść, tylko, że niezawsze umiemy je odszukać i wykazać. Między ptakami, osiadłemi a wędrownemi przejście takie stanowią, z jednej strony wyżej wspomniane ptaki przelotne, odlatujące na krótko, z drugiej zaś ptaki osiadłe, tułające się w zimie z jednego miejsca na drugie, a czasami opuszczające zupełnie na parę tygodni pewne okolice, aby po kilkunastu dniach powrócić znów do nich, jak to robią kawki lub gawrony, albo przenoszą się z pól do wsi, jak trznadle, albo z lasów do ogrodów, jak dzięcioły, kowaliki i inne. To są właśnie ogniwa, łączące ptaki osiadłe z wędrownemi.

B. Dyakowski.



HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Feliks Babilon skłonił się w milczeniu; przywykł spotykać przeróżne ekscentryczności u ludzi.

— Jestem znany w całym świecie — ciągnął dalej Racksole — stanowi to dla pana gwarancję dopełnienia z mej strony warunków umowy. Pewno słyszałeś o mnie dużo panie Babilon, ja również wiem nie mało o panu. Możemy polegać wzajemnie na danem słowie. Przecież niemniej łatwo nabyć hotel, jak koncesję na budowę kolei, lub zegarek kieszonkowy, byle nabywca zdolnym był do przeprowadzenia tranzakcji.

— Rzeczywiście—potakiwał gospodarz z uśmiechem. — Czy mamy zaraz skreślić warunki przedwstępnej umowy? Nad niektóremi szczegółami wartoby się zastanowić trochę. Przypuszczam, że pan jeszcze nie jadłeś obiadu i wolałbyś zapewne w drobniejszych kwestjach porozumieć się ze mną po obiedzie.

— Istotnie nie jadłem obiadu — rzekł z naciskiem milioner. — Czy zechcesz pan z tego powodu wyświadczyć mi jedną łaskę? Poślij, proszę, po pana Rocco.

— Potrzebujesz pan porozumieć się z nim, rzecz prosta.

— Tak potrzebuję się z nim rozmówić, odnośnie do mego obiadu — rzekł Racksole.

— Rocco jest znakomitością w swoim zawodzie — dowodził gospodarz, dotykając dzwonka i nie zwracając uwagi na ostatnie sł›wa gościa.— Kłaniaj się odemnie panu Rocco — dodał do wchodzącego chłopca — i poproś jeżeli ma chwilę wolnego czasu, aby zechciał pofatygować się tutaj.

— Co pan płacisz temu Rocco? — zagadnął Amerykanin.

— Dwa tysiące funtów szterlingów rocznie i utrzymanie jak dla ambasadora.

— Dam mu utrzymanie ambasadora i trzy tysiące fantów rocznie.

— Rozumnie postąpisz pan niewątpliwie.

W tej chwili Rocco wszedł cicho do pokoju. Był to chudy, wysoki, czterdziestoletni mężczyzna z niezwykle długiemi ciemno-szatyn wąsami.

— Rocco — rzekł Feliks Babilon — pozwól, że cię przedstawię panu Teodorowi Racksole z New-Yorku.

— Zaszczyt to dla mnie — odparł Rocco, składając ukłon. — Zowią pana milionerem?

— Jestem nim w samej rzeczy — przytwierdził Racksole i mówił dalej spiesznie: — Panie Rocco, pragnę uprzedzić cię przed innymi o fakcie, że nabyłem na własność hotel Babilon. Jeśli zrobisz mi tę przyjemność i pozostaniesz u mnie nadal, poczytam się szczęśliwym, ofiaruję panu za pełnione obowiązki trzy tysiące funtów rocznego wynagrodzenia.

— Mówisz pan trzy tysiące?

— Trzy.

— Przyjmuję z ochotą.

— A teraz, panie Rocco, proszę uprzejmie na obiad o zwykły befsztyk i butelkę piwa, podane za dziesięć minut najpóźniej przez Juliana; stanowczo żądam obsługi Juliana, do stołu Nr. 17 w sali jadalnej. Pozwolisz się przytem zaprosić na śniadanie.

Pan Rocco westchnął głęboko, skonił się, bąknął kilka słów po francusku i odszedł.

W pięć minut później, kupujący i sprzedający hotel wymienili wzajemnie przedwstępną umowę, skreśloną pośpiesznie na blankietach rachunków hotelowych. Feliks Babilon o nic nie pytał i ten brak ciekawości z jego strony zjednywał mu uznanie Racksola. Jakże nie wielu właścicieli hotelów na świecie nie komentowałoby żądania nabywcy natychmiastowego dostarczenia befsztyku i piwa!...

— W jakim terminie ma być spłacony szacunek? — zapytał Babilon.

— O! to rzecz dla mnie obojętna — odparł milioner. — Chcesz pan, aby wypłata należności nastąpiła dziś wieczór?

— Zastosuję się do woli pana w tym względzie oświadczył gospodarz. — Pragnąłem oddawna wycofać się z interesów. Teraz, gdy się to stało tak niespodziewanie, radbym skorzystać ze sposobności i wrócić do Szwajcarji. Trudno tam, co prawda, wydawać dużo pieniędzy, ale to mój kraj rodzinny. Będę najbogatszym obywatelem szwajcarskim... — dodał z uśmiechem, ucieszony tą myślą.

— Widzę, że jesteś pan zamożnym — rzekł z właściwą sobie poufałością Racksole, rozglądając się po pokoju, jakby teraz dopiero zauważył panujący w nim zbytek.

— Prócz tego, co otrzymam od pana, mam już pół miliona kapitału — oświadczył Babilon.

— W takim razie staniesz się pan niezadługo milionerem.

Babilon kiwnął potakując głową.

— Winszuję ci, kochany panie—rzekł Racksole tonem sędziego, któryby witał rozpoczynającego karyerę prawniczą aplikanta. — Dziesięćkroć sto tysięcy funtów szterlingów, zamienionych na franki, utworzy ładną sumkę... w Szwajcarji.

— Naturalnie, dla pana, panie Racksole, taka sumka równałaby się ubóstwu... Nikt nie może odgadnąć, jak wielki jest pana majątek? — pytał Feliks, idąc za danym przez gościa przykładem.

— Ja sam tego nie wiem; około pięciu milionów funtów prawdopodobnie — odparł Amerykanin ze szczerością, dowodzącą, że byłby określił dokładnie cyfrę bogactw swoich, gdyby ją znał rzeczywiście.

— Musisz pan mięć dużo zajęć i kłopotów, panie Racksole?

— Mam ich dosyć; dlatego przyjechałem z córką na czas pewien do Londynu, aby o nich zapomnieć.

— Czy kupno hotelu nie przyczyni panu nowych trudów?

— Zawsze to coś odmiennego, aniżeli koleje żelazne — rzekł Racksole, wzruszając ramionami.

— Ach! kochany panie, nie wiesz co nabyłeś!

— Przeciwnie, wiem — odparł Racksole. — Kupiłem najpierwszy hotel w świeciu.

— To prawda, to prawda — przytwierdzał Babilon, utkwiwszy wzrok w dywanie, rozesłanym na podłodze. — Żaden zakład nie może równać się z moim hotelem. Pan jednak żałować będziesz tego kupna, panie Racksole. Nie wypada mi mieszać się do pańskich interesów, a jednak powtarzam: będziesz żałował kupna.

— Nigdy nie żałuję, gdy co postanowię.

— To pożałujesz pan teraz; może nie później, jak dziś wieczór.

— Dlaczego?

— Bo hotel Babilon jest hotelem Babilon. Dlatego, żeś pan kontrolować umiał koleje żelazne, fabryki, statki parowe, zdaje się panu, iż kontrolować potrafisz wszystko. Nie dokażesz tego z hotelem Babilon. Jest coś w tym zakładzie... — dodał, wznosząc ręce.

— Służba okradała pana zapewne?

— Rozumie się; przypuszczam, że traciłem w ten sposób sto funtów tygodniowo. Nie służbę jednak mam teraz na myśli, ale gości. Wysoce dystyngowani ludzie nawiedzają ten hotel: ambasadorowie, wielcy finansiści, wielcy panowie z arystokracyi, wszystkie znakomitości świata gromadziły się pod mój dach. Londyn uważany za centrum obu półkuli, a mój hotel... pański hotel jest centrum Londynu. Wyobraź pan sobie, miałem raz jednocześnie u siebie w gościnie jednego króla i jedną cesarzowę wdowę.

— Wielki to zaszczyt, panie Babilon; nie znajduję jednak, iżby to miało przyczyniać trudności.

— Gdzież się podział przenikliwy umysł pański, panie Racksole? — zawołał gospodarz z oburzeniem. — Gdzie bystrość, która przysporzyła panu tak znacznego majątku, iż go sam zrachować nie jesteś w stanie? Nie rozumiesz pan, że pod dach, służący za schronienie wszelkim znakomitościom i potęgom świata, gromadzą się również liczni oszuści, łotrzy, złoczyńcy. Nigdy nie mogłem wiedzieć, kogo miałem dokoła siebie i co mogło mnie czekać w najbliższej przyszłości. Niekiedy dochodziły mnie poszlaki dziwnych czynów i osobliwych tajemnic. Wspomniałeś pan służbę moją; składa się ze zręcznych, znających swój fach ludzi.' Czy mogę wiedzieć jednak czem oni są rzeczywiście?... Mój zastępca może być agentem którego z rządów europejskich, a rzadkich zalet pannę Spencer przekupuje jaki krawiec nadworny lub bankier z Frankfurtu. Nawet Rocco, kto wie, czy nie jest kim innym w dodatku do zwykłego Rocca.

— To budzi tem większe zajęcie — zauważył Teodor Racksole.

* * *

— Jakżeś długo bawił! — odezwała się Nella, gdy ojciec jej powrócił do stołu Nr. 17 w sali jadalnej.

— Tylko dwadzieścia minut moja gołąbko.

— A mówiłeś o dwóch sekundach, różnica wielka.

— Czekać musiałem, aż usmarzy mi befsztyk.

— Czy miałeś wiele kłopotu z pozyskaniem tej uczty dla mnie?

— Kłopotu nie miałem, tylko żądany dar na dzień urodzin nie tak tani, jak utrzymywałaś.

— Co chcesz przez to powiedzieć ojcze?

— Że kupiłem hotel cały. Nie wydziwiaj tylko.

— Ojcze jesteś zawsze najmilszym dla mnie papą! Ofiarujesz mi hotel jako podarek na dzień jutrzejszy?

— Nie; będę nim zarządzał... dla zabawki. Ale proszę co znaczy to trzecie nakrycie?

— Przygotowane dla jednego z moich przyjaciół, który przyjechał przed pięciu minutami. Powiedziałam mu, że musi dzielić z nami befsztyk. Stawi się za chwilę.

— Czy wolno zapytać o jego nazwisko?

— Dimmock! na imię Raginald; zawód: towarzysz księcia Ariberta von Rüdesheim. Poznałam go w Wiedniu, gdy tam bawiłam z kuzynką Hettą raz ostatni. Oto już nadchodzi. Panie Dimmock, przedstawiam panu mego ojca. Potrafił zdobyć dla nas befsztyk.

Racksole ujrzał przed sobą młodego człowieka z dużemi czarnemi oczyma i świeżą, chłopięcą cerą. Rozmawiali z sobą uprzejmie.

(C. d. n.)

Nasze ryciny. W dodatku dzisiejszym podajemy dwie ilustracje z wystawionych na scenie krakowskiej dramatów Wyspiańskiego.

Pierwsza rycina przedstawia p. Walewską w roli królowej z Bolesława Śmiałego, w całem przepychu wspaniałego kostjumu, pomyślanego przez genialnego malarza-poetę, który jak się okazało umie być również genjalnym dekoratorem.

Druga rycina — to ostatnia scena z Bolesława Śmiałego, kiedy to na nieustraszonego króla idzie widmo straszliwe — trumna zamordowanego biskupa i przytłacza go do ziemi. Klisza ta wypadła nieco czarno, co osłabia wrażenie tej potężnej sceny.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.